

Rozdział 5

Wczesnym popołudniem następnego dnia Halina Osiniakowa szła śpiesznie przez pola. Słońce świeciło jasno, ale październikowe powietrze było już chłodne i pachniało jesienią. Na miedzach leżały wyschnięte liście, trawa po nocnej rosie zdążyła obeschnąć, a z oddalonej drogi dochodził od czasu do czasu warkot przejeżdżających samochodów. Halina jednak nie miała głowy do podziwiania pogody ani krajobrazu. Była zła. I to zła przede wszystkim na samą siebie, choć na drugim miejscu, z niewielką stratą uplasowała się Piotrowska.

Zasiedziała się u sąsiadki, co mieszkała hen, aż w kolonii. Miała zajść tylko na chwilę, zamienić kilka słów, może wypić herbatę, a tymczasem minęło pół dnia. Zapomniała o bożym świecie, ale tak to jest, gdy zejdzie się kilka bab i zaczną młócić jęzorami. Jedna coś powie, druga doda, trzecia przypomni historię sprzed dwudziestu lat, a czwarta koniecznie musi powiedzieć, co o tym wszystkim myśli. Tematów do pogaduszek nie brakowało: nowy lekarz w wiejskim ośrodku zdrowia, skandaliczne knowania gminy w sprawie przeniesienia przystanku PKS w niekorzystne miejsce, czy wreszcie powrót Gienka Smolarza do chłania. Nim człowiek się obejrzy, mijają kolejne godziny. Najśmieszniejsze, że Osiniakowa wyszłaby dużo wcześniej, ale gdy była już przy drzwiach Piotrowska pochwaliła się sukienką, którą przysłała jej siostra z Kanady.

Po sprawiedliwości przyznać trzeba, że ta kiecka, jest pierwsza klasa. Halina oglądała ją z zainteresowaniem, bo materiał był miękki, wzór niespotykany, a krój taki, jakiego w tutejszych sklepach i na bazarze próżno szukać. Sąsiadka prezentowała się w niej jak dama z amerykańskiego serialu o wyższych sferach, tytuł jakoś tak na literę „D”. Piotrowska kręciła się przed lustrem, poprawiała rękawy i opowiadała po raz kolejny, ile dolarów siostra musiała za nią zapłacić.

Osiniakowa bez zawiści pomyślała, że jej nigdy nie będzie stać na takie чудо. Choćby nie wiadomo, ile od ust sobie odejmowała.

U niej każda złotówka miała swoje przeznaczenie. Tu trzeba było kupić opał, tam coś naprawić przy domu, a na zimę zawsze przychodziły jakieś niespodziewane wydatki. O ubraniu takim jak Piotrowskiej mogła najwyżej pomarzyć. Ale przecież nie suknia zdobi człowieka – pocieszyła się.

Nagle przypomniała sobie o zegarku. Spojrzała na przegub. O, to już wpół do drugiej!

– Jezus Maria – mruknęła do siebie.

Stary pewnie wściekły. Mówiła, że wychodzi tylko na pół godziny. Na dodatek zostawiła na ogniu gotujące się ziemniaki. Jeśli garnek nie wykipiał, to przynajmniej ziemniaki powinny już być rozgotowane. A jeśli wykipiał, będzie musiała szorować kuchnię.

Przyspieszyła kroku. W pewnym momencie spojrzała na wyglądającą zza uschniętej jabłonki chałupę Czesławy Golby.

Spojrzała i aż przystanęła.

Bo to niepojęte. Cały dom rozświetlony, niczym choinka na Boże Narodzenie. Halina zmrużyła oczy, jakby chciała się upewnić, że wzrok jej nie myli. W biały dzień paliły się światła niemal we wszystkich oknach. Przez szyby przebijała żółtawa poświata. Kto w dzień pali wszystkie światła? Marnotrawstwo i wyższe rachunki za prąd.

Mało tego! Drzwi wejściowe rozwarte na oścież. Halina poczuła, jak coś nieprzyjemnego ściska ją w żołądku. Nie było w zwyczaju Czeški, kobiety już dobrze po sześćdziesiątce, samotnie żyjącej w domu oddalonym o ponad trzysta metrów od najbliższych zabudowań, na dodatek nieogrodzonym żadnym płotem, nie zamykać mieszkania. Nawet jak wychodziła na chwilę do królików albo do wygódki, dokładnie ryglowała zamki. Bała się złodziei. Ze dwadzieścia lat temu okradli ją Cyganie. Niby chcieli powróżyć, ale w czasie, gdy Cyganka miała ją wysoką wygraną w Toto Lotka, Cygan wyciągnął z kredensu pieniądze, odłożone na czarną godzinę. Wszyscy w Szczepanowie wiedzieli, że Golbina była ostrożna do przesady. Potrafiła dwa razy wrócić od furtki, żeby sprawdzić, czy na pewno zamknęła drzwi.

Czyżby tym razem zapomniała? A może coś się stało? Ceška wszak młoda nie była. Nikt zresztą nie zna dnia ani godziny...

Halina stała jeszcze przez chwilę na skraju pola, patrząc na dom. W normalnych okolicznościach pewnie pomyślałaby, że Czesława wyszła na podwórko i zostawiła otwarte drzwi. Ale światła nie dawały jej spokoju. Było ich zbyt wiele. Wyglądało to tak, jakby ktoś celowo zostawił cały dom rozświetlony.

– Ceśka! Cesia! – zawołała na cały głos Osiniakowa, zbliżając się do obejścia.
Nic. Cisza.

Tylko gdzieś w koronie starej jabłoni zaszeleściły liście.

– Czesia!

Ponownie żadnej odpowiedzi. Co tu robić? Powinna chyba zajrzeć i sprawdzić. Chociaż słońce jak na październik mocno przypiekało, Halina poczuła lodowaty dreszcz na skórze pleców. Włosy niemal stanęły jej na karku. Za nic nie wejdzie sama. Za żadne skarby! Choćby jej grozili tępym nożem.

Jeśli – odpukać – z Golbą coś złego się stało, nie chciała być tą, która znajdzie ją sztywną. Raz tylko widziała nieboszczyka na cmentarzu, podczas otwarcia trumny i nigdy tego nie zapomni. Obraz wychudłej twarzy i nieruchomych dłoni oplecionych różańcem wracał do niej czasami nawet po latach. Od tamtej pory uważała, że umarłych powinno się oglądać tylko wtedy, kiedy naprawdę trzeba.

A jeżeli potrzebna jej pomoc, bo na przykład zasłabła, tym bardziej ktoś jeszcze powinien być. Może leży gdzieś na podłodze i czeka na pomoc. Może złamała nogę. Może dostała udaru. Halina zrobiła jeszcze dwa kroki w stronę domu, ale zaraz się zatrzymała. Nie. Sama nie wejdzie. Zadziałać jednak trzeba.

Nie po chrześcijańsku byłoby nie zareagować, pójść sobie w swoją stronę, jakby nigdy nic. Potem, gdyby okazało się, że Czesława umarła albo potrzebowała pomocy, wszyscy powiedzieliby: była tam, widziała, dlaczego nic nie zrobiła? Podobno jest za to nawet jakiś paragraf.

Pomyślała chwilę i zawróciła. Trudno, stary musi poczekać. Jak trochę przepości, wyjdzie mu to tylko na zdrowie. Zgubi trochę brzuszyska, które mu wisi jak wór po kartoflach.

Ruszyła szybkim krokiem w stronę najbliższych zabudowań. Po chwili już niemal biegła. Co kilka sekund odwracała się i spoglądała na dom Czesławy. Światła nadal się paliły. Najbliżej jej było do Taraniuków. Pobieгла co tchu.

Wpadła do izby blada, zdyszana, rozczochrana. Chustka zsunęła jej się z głowy, a policzki miała czerwone od wysiłku. Jadźka Taraniukowa tak się wystraszyła, że aż upuściła na podłogę nóż, którym obierała cebulę. Uderzył z brzękiem o deski.

– Matko Boska, co ci?!

Jej mąż, drzemiący w pokoju po nocnej zmianie na kolei, ocknął się i też zdziwiony wybałuszył oczy. Podniósł się na łokciu, spojrzał na żonę, potem na Halinę, jakby spodziewał się usłyszeć wiadomość o pożarze albo wypadku drogowym.

Osiniakowa przysiadła na zydelku i ciężko sapała. Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie słowa.

– Wody... dajcie wody.

Jadźka napełniła kubek wodą z kranu i podała jej. Dopiero po minucie uspokoił jej się oddech i zaczęła mówić.

– U Czeški coś jest nie tak.

– Co znaczy „coś jest nie tak”? – spytała Jadźka.

– Drzwi otwarte. Wszystkie światła się palą. W dzień. Rozumiesz? Wszystkie! Musi coś się stało.

Taraniukowa spojrzała na męża.

– Może gdzie wyszła... Do piwnicy albo na stryszek – powiedziała niepewnie.
– Ale przecież, nawet gdy była w środku, nie zostawiała frontowych drzwi otwartych. Na takim pustkowiu mieszka, nie ma co się dziwić jej ostrożności. No i ciągle pamięta tych Cyganów.

– Właśnie! – podchwyciła Halina. – Ja ją znam. Ona nawet jak do wychodka idzie na podwórko, to drzwi zamyka na klucz.

– Może zasłabła?

– Nie wiem. Dlatego trzeba zobaczyć, sprawdzić.

– Wiesz co, Halina? – odezwał się naraz Taraniuk.

– Co?

– Coś sobie przypomniałem. Jak o szóstej wracałem z roboty, zauważyłem, że u Czeški palą się wszystkie światła.

Halina spojrzała na niego.

– O szóstej rano?

– Ano. O szóstej rano, masz pojęcie?! Zdziwiło mnie to, ale zmęczony byłem jak diabli i...

– Teraz też światła się palą! – przerwała Osiniakowa.

Zapadło milczenie. Taraniukowa spojrzała na męża, ale on opatulił się szczelnie po szyję kocem, dając do zrozumienia, że nie ruszy się na krok z domu. Machnęła ręką. Te cholerne chłopy. Odważni tylko między sobą, zwłaszcza jak sobie popiją. Na co dzień ciepłe kluchy i trzęsące się galarety.

– Nie ma co debatować. Idę z tobą, Halka. Poczekaj, tylko sweter narzucę.

Jadźka wstała i ruszyła do drugiej izby.

– A i kija jakiego wezmę ze sobą, bo to wiadomo...

– Po co? – wybałuszyła oczy Osiniakowa. Zaraz dodała: – Faktycznie, lepiej wieź. Jakby jaki złodziej się tam zaczął...

Nie dokończyła.

Po chwili obie wyszły z domu. Jadźka rzeczywiście zabrała długi, drewniany kij. Trzymała go mocno w dłoni, choć sama nie wiedziała, czy bardziej doda jej odwagi, czy rzeczywiście przyda się do obrony.

Po drodze uradziły, że wstąpią po Albina Kaźmierczuka. Golba to jego daleka krewniaczka. Często przychodziła bawić mu dzieciaki, bo on wdowiec. Dwa lata temu pochował żonę, której zmarło się na raka jajników i od tamtej pory radził sobie sam z trójką drobiazgu. Najstarsze miało jedenaście lat, najmłodsze pięciu nie skończyło. Nie było mu łatwo. Pracował, zajmował się domem, gotował, prał i pilnował dzieci. Czesława pomagała mu, kiedy tylko mogła.

Kaźmierczuk bardzo poważnie potraktował słowa sąsiadek. Zaniepokoił się nie na żarty. W południe spodziewał się bowiem Cześki. Jechał do miasteczka i umówił się z kuzynką, żeby posiedziała z Michałkiem, Weroniką i Dagmarą. Miał wrócić później, ale nie doczekał się jej. Początkowo pomyślał, że może zachorowała albo coś jej wypadło. Nawet zamierzał ją wieczorem odwiedzić.

Teraz, słuchając o otwartych drzwiach i palących się światłach, poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Dobra – powiedział po chwili. – Idziemy.

– Weź latarkę – doradziła Jadźka.

– Jest dzień.

– To nic. Weź.

Wziął. Ruszyli we troje w stronę domu Czesławy.

– Jezus, Maria, toż to napad chyba był!

Przerażonym wzrokiem wodzili po mieszkaniu Golby. Wyglądało jak po przejściu huraganu. Szafa, kredens, schowki w regale – wszystko pootwierane, zawartość wybebeszona, rozrzucona po pokoju. Ubrania walały się po podłodze. Z szuflad powyciągano papiery, stare rachunki, fotografie i drobiazgi, które dla obcego człowieka nie przedstawiały żadnej wartości. Książeczkę do nabożeństwa ze zdjęciem papieża Polaka znaleźli na fajerce kuchenki. Na stole przewrócona była miska. Jedno z krzeseł leżało bokiem. Łóżko skopane. Podarta poszwa na koldrę. Brakowało prześcieradła.

– Matko Boska... – wyszeptała Jadźka. Próbowwała się przeżegnać, lecz zdrewniała na skutek szoku ręce odmówiły posłuszeństwa.

Na wykładzinie w kuchni i przedpokoju widniały czarne ślady butów. Było ich kilka, niektóre nakładały się na siebie. Albin pochylił się nad jednym z nich, ale zaraz się wyprostował.

Gospodyni nigdzie nie było.

Zagląдали i do spiżarki, i na stryszek. Albin biegał nawet na podwórko i sprawdzał w piwniczce, do której prowadziło osobne wejście umocnione kamieniami.

Ani widu, ani słyhu.

– Przecież się nie rozplynęła... – mruknęła Osiniakowa.

– Ciekawe, czego złodzieje tu szukali – zastanawiała się Jadźka. – U niej bida aż piszczy. Ma te króliki i chyba nic więcej.

– No, nie wiem – odezwała się Halina. – Rentę bierze. A może jakie dolary trzyma pod pierzyną. Czymś takim nikt się nie chwali.

– Cicho, baby! – zgromił je Kaźmierczuk.

Nie podobało mu się trajkotanie sąsiadek. W całym domu panował jakiś złowieszczy bezład. Nic nie wyglądało tak jak powinno. Czesława żyła skromnie i schludnie. Nie miała wielu rzeczy, ale o te, które posiadała, dbała. Teraz wyglądało to tak, jakby ktoś celowo chciał rozebrać dom na części. I może temu komuś wcale nie zależało na forsie, której Golbina nie miała. Plotki o dolarach to bzdura.

Albin przeszedł jeszcze raz przez izbę. Nagle zatrzymał się.

– Znalazłeś co? – spytała Jadźka.

– Ano, znalazłem.

Podszedł do łóżka.

– Krew.

Kobiety zamilkły.

– O tu, na prześcieradle.

Prześcieradło wreszcie się znalazło. Leżało zmięte w kulę między łóżkiem i ścianą. Widać, zsunęło się. Albo i nie. Może ktoś celowo je tam wsadził.

Albin przykucnął. Materiał lepił się od zakrzepłej, gęstej, ciemnobrunatnej substancji.

Krew. Nie mieli wątpliwości.

Jadźka zrobiła krok do tyłu. Halina zasłoniła usta dłonią.

– O Boże, nie wytrzymam, zemdleję, muszę stąd zaraz wyjść – pojękiwała Osiniakowa.

Zbladła jak papier. Wybiegła na zewnątrz, potykając się na progu. Jadźka ruszyła za nią, ale Albin został jeszcze chwilę w środku.

Patrzył na prześcieradło.

Wtedy po raz pierwszy pomyślał, że Czesława może nie żyć. Nie chciał tego powiedzieć głośno.

Wszyscy troje opuścili dom. Pewne już było, że wydarzyło się coś strasznego. Ale gdzie się podziała Cześka?

Rozglądali się po zaniedbanym podwórku. W klatkach wylegiwały się króliki – ostatnie trzy, jakie się ostały – obojętnie mierząc ich ospałym wzrokiem. Dwie wychudzone kury spacerowały po błocie, co jakiś czas dziobiąc ziemię. Kilka wyschniętych jabłonek rosnących w pobliskim sadku kołysał wiatr. Ten pozorny spokój, pustka i cisza stawały się coraz bardziej przerażające.

Albin miał wrażenie, że za chwilę wydarzy się coś jeszcze.

Jego wzrok padł w pewnym momencie na studnię, która stała najwyżej cztery metry od domu. Stara studnia miała kiedyś zadaszenie. Jednak drewno dawno przegniło i się rozpadło. Zostały tylko kikuty.

Zauważył, że trawa wokół studni jest zdeptana, wygnieciona. Ślady były zbyt mocne jak na kury. A tu wyraźnie widać odciski kroków. Zbliżył się z ociąganiem.

– Co tam? – spytała Jadźka.

Nie odpowiedział. Ostrożnie nachylił się nad cembrowiną i spojrzał w dół. W studni panowała ciemność. Lustro wody znajdowało się kilka metrów poniżej. Przez chwilę widział tylko swoje odbicie, rozmazane i drżące.

– No i co? – spytały kobiety obserwujące w napięciu jego poczynania.

Tylko przełknął głośno ślinę. Nie mógł oderwać oczu od lustra wody. Wydawało mu się, że coś czerwonego pływa tuż pod powierzchnią.

– Tam coś jest – powiedział w końcu.

– Co?

– Nie wiem.

Przy studni stał długi kij, zdaje się, że służący do mierzenia głębokości. Chwycił go, opuszczył i lekko wzburzył wodę. Najpierw nic nie nastąpiło. Potem coś poruszyło się pod powierzchnią.

Albin cofnął się.

– Jezus...

Ponownie opuszczył kij. Tym razem woda wyraźnie zafalowała. Wynurzyła się z niej najpierw ludzka ręka, potem korpus odziany w kamizelkę z czerwonej wełny i wreszcie pokazała się twarz. Sinawa. O rysach zastygłych w przedśmiertnym grymasie bólu i strachu.

To była twarz Czesławy Golby.

Jadźka krzyknęła. Halina osunęła się na ziemię. Albin stał nieruchomo wpatrując się w studnię. Przez kilka sekund nie był w stanie wydobyć z siebie słowa.

Potem powiedział tylko:

– Trzeba na policję.